



Teresa B. Frodyma, 2018

Aniołowie, aniołowie biali,
na coście to tak u żłobka czekali,
po coście tak skrzydełkami trzepocząc
płatki śniegu rozsypali czarną nocą? (...)

Aniołowie, aniołowie biali,
o! przyświećcie blaskiem skrzydeł swoich,
by do Pana trafił ten zgubiony
i ten, co się oczu podnieść boi,
i ten, który bez nadziei czeka,
i ten rycerz w rozszarpanej zbroi,
by jak człowiek szedł do Boga-Człowieka,
aniołowie, aniołowie biali.

Krzysztof Kamil Baczyński – „Kolęda”

Szczęśliwych i Radosnych Świąt w gronie
rodzinnym życzę wszystkim Koleżankom i Ko-
legom spod sztandaru Polskiego Towarzystwa
Tatrańskiego oraz naszym sympatykom.

A Aniołowie niechaj nadzieją nas ubogacają.

JOLANTA AUGUSTYŃSKA
Prezes PTT

Z życia Oddziałów

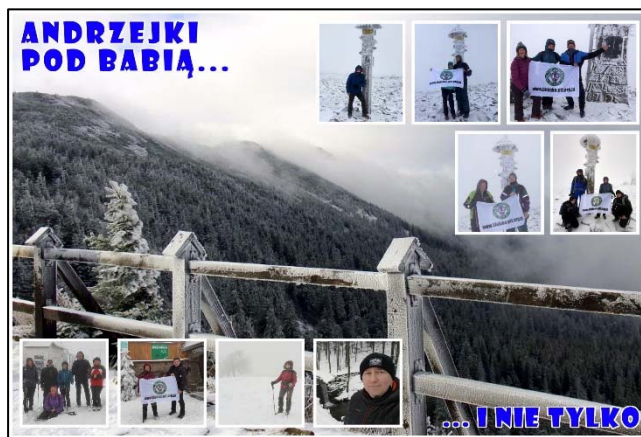
MARTYNA PTASZEK-PABIAN (O/Bielsko-Biała)

Andrzejki pod Babią... i nie tylko

W ostatni weekend listopada Oddział Bielski PTT zaprosił swoich członków i sympatyków do podtrzymania tradycji andrzejkowych i ruszenie w góry. Tradycyjne „Andrzejki pod Babią” w „Chacie pod Kwiatkiem” w Zawoi Paluchówce nie mogły się odbyć, z przyczyn wszystkim nam wiadomych, ale ostatecznie wyszło na to, że „andrzejkowo” Królową Beskidów, pomimo trudnych warunków, zdobyło więcej osób, niż zazwyczaj.

Pierwszy na Diablaku w sobotę zameldował się Kaziu, godzinę za nim dwie niezależne grupy wędrujące z Przełęczy Krowiarki. Tego dnia kapryśna Babia nie wszystkim okazała swe wdzięki. Grażynka, Kasia i Rysiu przesłali nam zdjęcia z widocznym grzbieciem, ale potem warunki się pogorszyły. Agnieszka, Waclaw i Jan również nie mieli wielu widoków tego dnia.

Najmłodszym członkiem naszego Oddziału, który zdobył w niedzielę Diablak był Wojtek. Mimo trudnych warunków, wędrował dzielnie i wytrwale wraz z tatą Łukaszem, wujkiem Łukaszem i Martyną z Zawoi Markowej. Mimo dokuczliwego wiatru i niewielkiego, lecz ciągłego opadu śniegu zdecydowali się przedłużyć nieco trasę obierając kurs na Małą Babią i Zawoję Czatozę, a potem szlakiem Wawrzyńca Szkolnika z powrotem do parkingu w Zawoi Markowej.



opr. Szymon Baron – PTT Bielsko-Biała

Babia Góra nie była jednak jedynym celem weekendowych wyjazdów! W góry indywidualnie i niezależnie ruszyło kilka grup (oczywiście maksymalnie do 5 osób). Serdeczne pozdrowienia z Klimczoka dla zdobywców Babiej Góry przesłał Mirek. Natomiast Iwona ze Stasiem postawili, tym razem, na kultową miejscówkę, czyli Rysiankę!

Wędrowaliśmy po szlakach Beskidu Żywieckiego i Śląskiego, a przedstawiamy tylko krótką relację z tych wyjazdów, o których wiemy i których uczestnicy udostępnił nam zdjęcia i informacje.

LESZEK LESICZKA (O/Poznań)

Oddział Poznański PTT aktywny w czasie pandemii

Nikt nie ma wątpliwości, że pandemia koronawirusa wywoła wiele trwałych zmian. Zmiany określają, kim jesteśmy i jaki tkwi w nas potencjał. Przeglądamy się w nich jak w lustrze, a one im bardziej są gwałtowne, tym więcej pokazują. Nasze lustro zmian nie musi być czarne.

W walce z pandemią dużą uwagę przywiązuje się do przestrzegania szczególnej higieny, dbania o odporność organizmu, zachowania zdrowego stylu życia (odżywianie, sen itp.) oraz utrzymania sprawności fizycznej, psychicznej, a przede wszystkim siły ducha, żeby oddać się miłości...

Wyruszamy więc jako członkowie Oddziału Poznańskiego PTT na Szlak Niepodległości. W każdy piątek od początku lipca br. parę osób przemierza tę trasę modląc się o oddalenie niebezpieczeństw duszy i ciała, o zbawienie dla każdego, za Ojczyznę, przyjaciół, znajomych, w ważnych i innych sprawach.

Nasz Szlak Niepodległości o długości ok. 3 km poprowadzony jest w Puszczy Zielonce. Składa się z 14 krzyży i drewnianych znaków. Jest Drogą Krzyżową, czyli Szlakiem Niepodległości.

Po ok. 200 m dochodzimy do Szlaku im. Polskiego Towarzystwa Tatrzńskiego.

Tam na wysokiej morenie, w lesie dębowym, wita nas Krzyż Papieski z tablicą. Przypominamy, że Szlak im. PTT i Krzyż Papieski zostały „zbudowane” przez Oddział Poznański. Ponadto nasi członkowie tworzyli Drogę Różańcową (20 kapliczek posadowionych pomiędzy Kicinem, a Wierzenicą na dystansie ok. 3 km) i Ścieżkę im. A. Cieszkowskiego (ok. 11 km). Droga Różańcowa (w całości lub części) prawie codziennie „przemierzana” jest z różańcem w ręce przez niektóre osoby.

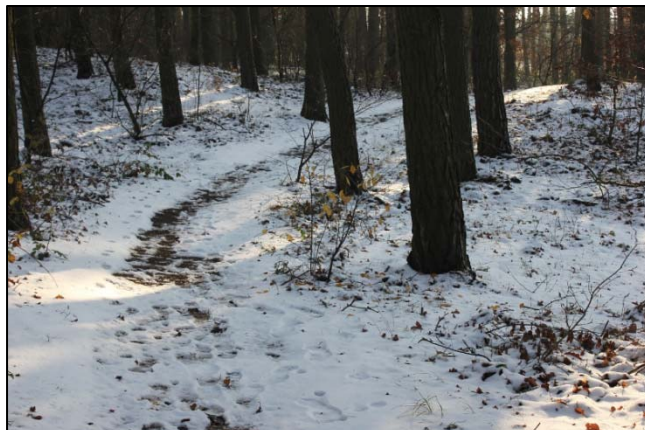
Z innych spraw, to tradycyjnie w ostatnią sobotę lipca byliśmy u Królowej Tatr (Msza Św.), natomiast 18 października, w Domu Józefa odbył się mój wernisaz fotograficzny. Inna wystawa jest prezentowana od czerwca w Internecie (fotografia, muzyka, poezja), wystarczy wpisać w przeglądarce „Proroctwo milczenia” i znajdziecie się na wystawie.

Zapraszam i serdecznie pozdrawiam.



fol. Leszek Lesiczka – PTT Poznań

Drogowskaz na początku Szlaku Niepodległości



fol. Leszek Lesiczka – PTT Poznań

Zaśnieżony szlak przez Puszczy Zielonkę

STEFANIA HYLA (O/Opole)

Sabałowy Klan już nie ten sam

Zbliża się koniec trudnego roku. Nie tylko pandemia pokrzyżowała nam plany. Dzisiaj rano mój nieodzowny przyjaciel „telefon” powiadomił mnie, aby przypomnieć sobie dzień 3 grudnia – trzy lata temu. Rzeczywiście, całą grupą naszego koła byliśmy w Zakopanem. Zdjęcia przypominały nam o cudownej zimie, o czterech wspaniałych dniach tam spędzonych. Oczywiście, rano wysłałam przyjaciółce te zdjęcia dla przypomnienia. Odpowiedzi nadeszły zaraz: „Oooo, pojechalibyśmy tam znowu”, „Ja chcę tam jechać”; „Jakie to fajne były czasy”; „Tak fajnie nam tam było”, „Czy jeszcze kiedyś pojedziemy tam naszą grupą?”.

To ostatnie pytanie było najsmutniejsze i ono natchnęło mnie do napisania tego artykułu, oraz o przekazaniu informacji, że Sabałowy Klan już nie jest ten sam. Nie pandemia i zakaz wyjazdów pokrzyżowała nam plany, że nie jesteśmy już razem. Jak już pisałam w poprzednich artykułach mieliśmy fajną grupę i pomimo tego, że pracowaliśmy w korporacji – udawało nam się wyjeżdżać razem i spędzać weekendy ze sobą. Często spotykałam się z wypowiedzią, że musi być w tym coś fajnego, że skoro nawet w weekendy chcemy być ze sobą. Mieliśmy też członka koła – naszego byłego Prezesa Spółki, który był często inicjatorem naszych wyjazdów. Po zmianie kierownictwa spółki zmieniły się też częste

wyjazdy, już nie czterodniowe, ale ograniczone tylko na weekendy i nie zawsze w dużej grupie.

Zmiany personalne spowodowały też, że część naszych członków z różnych powodów nie zawsze mogła jechać. Ten rok jest wyjątkowo trudny dla naszej grupy.



Z koła odeszło parę osób, które zostały zwolnione w ramach „czyszczenia personalu”, a pozostała część chyba trochę się boi wspólnych wyjazdów, bo chce pracować. Tegoroczne wyjazdy (Kazimierz, Jaworki i letnie wypady w Karkonosze) to już mała grupa członków, która pomimo wszystko trzyma się razem i nie zważa na układy.

W związku z rozszadami z funkcji w Zarządzie Koła zrezygnowały dwie osoby, gdyż zostały zwolnione. Ja jako Prezes złożyłam rezygnację z tej funkcji, podobnie skarbnik koła. Po naszym odejściu nikt nie podjął się dalszego prowadzenia Sabałowego Klanu.

No cóż, szkoda tych sześciu lat wspólnej pracy w kole, z czego byliśmy bardzo dumni. Idea powstania koła narodziła się podczas firmowej wigilii, ale wtedy mało kto wierzył, że nam się uda. Dopiero następnego roku latem rozpoczęliśmy dla próby pierwsze wyjazdy. Potem już coraz więcej osób dołączyło do nas i tak przez sześć lat jeździliśmy razem, ciesząc się na każdy następny wyjazd. Dla mnie jako Prezesa była to wspaniała przygoda oraz poczucie dumy, że tyle młodych osób zarażam tą pasją. Kiedy odchodziłam wiosną ze Spółki otrzymałam od przyjaciół wiele podziękowań i piękną statuetkę z napisem „Mały człowiek – wielkie serce. Dziękujemy, że jesteś”. Czy może być coś piękniejszego?

Część naszych członków pozostanie dalej w opolskim oddziale PTT, ale już nie w Sabałowym Klanie. Nasza mała grupa nie zamierza rezygnować z wyjazdów w góry, bo jak powiedział ks. Józef Tischner – tracąc góry tracimy coś z siebie.

SZYMON BARON (O/Bielsko-Biała)

Spotkanie z Mikołajem

Już po raz piąty Oddział PTT w Bielsku-Białej zorganizował dla najmłodszych turystów, członków i sympatyków PTT „Spotkanie z Mikołajem” na górskim szlaku. Podobnie jak w poprzednich latach naszym celem była Przełęcz Karkoszczonka w Beskidzie Śląskim, a w tym roku na grzeczne dzieci czekali Święty Mikołaj z pomocnicą – diablą.

Z powodu pandemii, która mocno krzyżuje nam w tym roku plany, zaproszenie było nietypowe – nie mieliśmy się spotkać, tradycyjnie, w Szczyrku Biłej, skąd dużą grupą co roku wędrujemy szukając Mikołaja, lecz Mikołaj czekał już na miejscu, a wszyscy podchodzili do niego osobno, w rodzinnym gronie. Były prezenty, był dzwonek – robiący największą furorę wśród najmłodszych, była diablą z widłami, która próbowała przeszkadzać Mikołajowi... Były też drobne występy artystyczne z odśpiewaniem przez Hanię cichutkim „Sto lat”, laurka dla św. Mikołaja i częstowanie wszystkich cukierkami...

W tegorocznym, covidowym „Spotkaniu z Mikołajem” wzięło udział jedenastu młodych turystów i dokładnie dwa razy więcej ich dorosłych towarzyszy, łącznie 33 osoby.

Za organizację tego wydarzenia chciałbym podziękować Kasi Talik, która tradycyjnie dopinała wszystko na ostatni guzik i dzięki której prezenty były fantastyczne, Wojtkowi Biłko, który spełniał się jako Mikołaj i Zosi Baron, która jako diablą nie bała się nawet wysmarowania twarzy „diabelskim” błotem!

Mikołaj z diablą czekail na młodych turystów na górskim szlaku



foto. Szymon Baron - PTT Bielsko-Biała

Dwusetna rocznica urodzin Tytusa Chałubińskiego w radomskim oddziale PTT

Dla Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Oddział w Radomiu kończący się rok 2020 był rokiem obchodów jubileuszowych związanych z dwusetną rocznicą urodzin Patrona Oddziału, doktora Tytusa Chałubińskiego. Zarząd Oddziału zaplanował szereg uroczystych i turystycznych wydarzeń z tej okazji.

Jednym z ważniejszych wydarzeń były cykle wycieczek i rajdów „Śladami dra Tytusa Chałubińskiego”. Głównymi imprezami w tym cyklu, miały być wycieczki po Radomiu, Warszawie i Zakopanem, miastach najbardziej związanych z życiem i działalnością Tytusa Chałubińskiego.

Pierwszą z tych wycieczek planowana była na rozpoczęcie sezonu turystycznego w marcu do Warszawy. Niestety, została odwołana ze względu na pandemię. Następna, którą udało się zrealizować to wycieczka do Zakopanego połączona z rajdem „Perciami Ku Wierchom”.

Chętni mogli się wybrać na niezwykłą wycieczkę górską na Halę Gąsienicową śladami dra Tytusa Chałubińskiego, którą odbył w 1882 roku. Była też możliwość uczestniczenia we wspólnej wycieczce na Wrota Chałubińskiego. W Zakopanem można było odbyć spacer po miejscach związanych z Chałubińskim, łącznie z wejściem lub wjazdem kolejką na Gubałówkę.

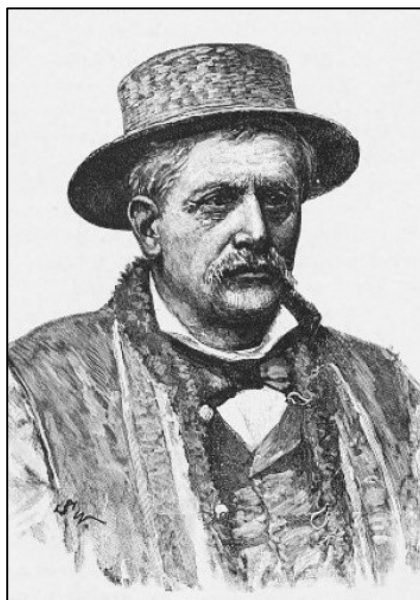
Niektórzy wybrali zwiedzanie Muzeum Tatrzańskiego oraz fotograficzną wystawę plenerową poświęconą patronowi Muzeum Tatrzańskiego. Niestety nie udało się zrealizować pozostałych etapów cyklu „Śladami Tytusa Chałubińskiego” w planowanych ramach zbiorowych wycieczek czy też rajdów.

Okres kiedy reżim sanitarny został poluzowany przypadł akurat na czas wakacji i urlopów, co nie sprzyjało frekwencji na naszych wycieczkach. Mimo wszystko doszło do skutku kilka wycieczek po Radomiu i jedna do Warszawy. Wycieczki były kameralne. Brało w nich udział kilka osób lub wręcz pojedyncze osoby. Mieliśmy nadzieję, że nasza główna impreza planowana na 29 grudnia 2020 r. w Radomiu, czyli zjazd wszystkich członków, gości i sympatyków Oddziału, podsumowujący Rok Chałubińskiego w naszym Oddziale dojdzie do skutku, lecz gwałtowny nawrót pandemii zniweczył nasze plany, musieliśmy zaniechać przygotowań do uroczystości.

Staraliśmy się w roku jubileuszowym na różne sposoby promować i kultywować pamięć po naszym patronie. Najdostępniejszy okazał się ten poprzez popularyzację materiałów i wydarzeń związanych z Tytusem Chałubińskim na stronie inter-

netowej lub Facebooku. Służyło to przede wszystkim przybliżeniu sylwetki tego wielkiego człowieka, wspaniałego lekarza, przyrodnika, społecznika, pioniera polskiego taternictwa i turystyki tatrzańskiej, jednego z twórców Towarzystwa Tatrzańskiego i jego honorowego członka (od 27 maja 1877 r.).

Chałubiński jak mało kto zasłużył, aby uczcić Jego pamięć, zwłaszcza w środowisku Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, a dwusetna rocznica Jego urodzin stworzyła nam taką okazję. Dla nas, członków Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, dr Tytus Chałubiński jest uosobieniem ciągle żywej w Towarzystwie aktywnej, humanistycznej postawy człowieka wobec gór, ludzi i przyrody.



Tytus Chałubiński urodził się 29 grudnia 1820 roku w Radomiu jako syn Szymona – adwokata przy Trybunale Cywilnym Pierwszej Instancji Województwa Sandomierskiego w Radomiu i Teodozji z Wnorowskich. Wkrótce po narodzinach, ze względu na oznaki słabego zdrowia, został szybko ochrzczony w kościele św. Jana, gdzie otrzymał imiona Tytus Aureliusz. Wczesne dzieciństwo spędził w Chociwku nad Krzemionką (obecnie wieś w woj. łódzkim, w powiecie tomaszowskim), gdzie znajdował się rodzinny majątek Wnorowskich. Gdy sytuacja materialna jeszcze na to pozwalała, początkowe nauki wraz ze swoim rodzeństwem, czyli Teresą, Antoniną i Marią oraz bratem przyrodnym Setorem, pobierał w domu.

Wcześniej, bo w wieku 10 lat, stracił ojca, kiedy miał 20, jego matka utonęła, wpadłszy do studni w Chociwku. Wspierała go materialnie matka chrzestna, naz-

wiskiem Barszczewska, co umożliwiło mu edukację.

W Radomiu chodził do szkoły elementarnej, a potem od 1833 roku do czasów studenckich uczył się w Gimnazjum Gubernialnym w Radomiu, mieszczącym się wówczas w dzisiejszym budynku Muzeum w Rynku (w oddziale filologicznym w klasach IV, V, VI, VII). W 1838 roku otrzymał świadectwo ukończenia VII klasy i rocznego kursu dla wstępujących na studia.

W szkole oceny celujące otrzymywał wyłącznie z przedmiotów humanistycznych (dwukrotnie otrzymał nagrodę specjalną za biegłą znajomość języka rosyjskiego), natomiast ze ścisłych przeważnie dostateczne.

W latach 1838-1840 studiował medycynę na Akademii Medyko-Chirurgicznej w Wilnie. Po zamknięciu uczelni rozpoczął studia przyrodnicze w Dorpacie (dziś Tartu w Estonii). W Dorpacie uczył się głównie botaniki, już w 1842 roku uzyskał dyplom kandydata nauk przyrodniczych na podstawie rozprawy pt. „Historyczny przegląd mniemań o płciowości i sposobie zapładniania się u roślin”. Studia medyczne wznowił w Würzburgu, gdzie w 1844 roku, za pracę „O mocczu ze stanowiska fizjologicznego i patologicznego” uzyskał dyplom doktora medycyny, chirurgii i położnictwa, ale pozwolenie na pracę w wyuczonym zawodzie zyskał dopiero 2 czerwca 1846 roku, zdając egzamin przed warszawską Radą Lekarską. Następnie rozpoczął pracę w szpitalu ewangelickim w Warszawie.

W 1848 ożenił się z Antoniną Kozłowską, z którą miał syna Franciszka. Po śmierci żony, sześć lat później, zawarł drugi związek małżeński - z Anną Leszczyńską. Chałubińskim urodziło się czworo dzieci; dwoje zmarło w dzieciństwie na krztusiec, przeżyli Jadwiga i Ludwik. W tym małżeństwie Chałubiński nie czuł się dobrze. Odmienne poglądy i charaktery coraz bardziej oddalały od siebie tych dwoje. Kiedy po latach spotkał znów swoją pierwszą sympatię – Antoninę Wilde, jego uczucie odżyło, zdecydował się na rozwód i poślubił Antoninę, zostawiając byłej żonie dwójkę swoich dzieci: Jadwisię i Ludwika, z którymi utrzymywał potem bliskie i dobre stosunki.

Podczas Wiosny Ludów Chałubiński na krótko porzucił pracę w Szpitalu Ewangelickim, by jako kierownik ambulansu nieść pomoc powstańcom węgierskim, walczącym przeciwko monarchii austro-węgierskiej. Po klęsce powstania przeostał się do kraju przez Tatry i Podhale.

Po powrocie został sekretarzem Towarzystwa Lekarskiego, a od 1855 roku został lekarzem naczelnym w Szpitalu Ewangelickim. Cztery lata później jako profesor objął katedrę terapii szczegółowej i klinikę chorób wewnętrznych w Warszawskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej. Uczestniczył w procesie tworzenia Szkoły Głównej Warszawskiej.

Podczas powstania styczniowego został uwięziony, a potem deportowany do Niemiec. Po upadku powstania wrócił do Warszawy. Był profesorem Wydziału Lekarskiego Szkoły Głównej. Chałubiński miał wiele różnorodnych zainteresowań: malarstwo, teatr, literatura, a szczególnie muzykę, przy której najlepiej odpoczywał. Największą jego pasją były jednak zainteresowania na polu poznawania przyrody. Chałubiński kolekcjonował minerały, których zbiór liczył około 3 tysiące okazów, przeprowadzał we własnym domu doświadczenia chemiczne oraz zbierał tatrzańskie mchy i rośliny „jawnokwiatowe”. Nie stronił także, od działalności społecznej – został powołany do Tymczasowej Rady Miasta (1861), brał udział w reformie szkół średnich.

W Tatrach Chałubiński bywał już od 1852 roku. Od 1873 roku, czyli od pamiętnej walki doktora z epidemią cholery na Podtatrze, w czasie której uratował wielu górali m.in. swego zakopiańskiego przyjaciela ks. Stolarczyka, losy Chałubińskiego nieodzownie związane były z tym miejscem.

W 1879 rozpoczął budowę własnego domu w Zakopanem. Zamieszkał w nim osiem lat później. Stał się gorącym orędownikiem Tatr oraz badań przyrody tatrzańskiej i kultury góralskiej. Jego zainteresowania stały się jednym z czynników powodujących znaczny rozwój badań naukowych w Tatrach. W Zakopanem dał się poznać jako wspaniały lekarz i wielki społecznik, czynił to dużym nakładem swojego czasu i pieniędzy. W 1873 roku przed wybuchem epidemii zdołał postawić na Gubałówce żelazny krzyż odlany w hucie w Kuźnicach.

Po zamieszkaniu w Zakopanem, bardzo aktywnie włączył się w jego życie dbając o rozwój wsi i polepszenie życia jej mieszkańców. Między innymi z jego inicjatywy Zakopane uzyskało status stacji klimatycznej. Organizował liczne (często wielodniowe) wycieczki w góry. Wyznaczał też nowe drogi, m.in. na Lodowy Szczyt. Odkrył zalety lecznicze Zakopanego – stał się pionierem klimatycznego leczenia gruźlicy płuc w Polsce.

Był jednym z założycieli Szkoły Snycerskiej (późniejszej Szkoły Przemysłu Drzewnego), przyczynił się do powstania Szkoły Koronarskiej. Jeden z pionierów taternictwa, współzałożyciel Towarzystwa Tatrzańskiego i Muzeum Tatrzańskiego, któremu ofiarował swoją kolekcję minerałów i okazów flory tatrzańskiej. Umarł 4 listopada 1889 roku. Ciało wielkiego lekarza spoczęło na Starym Cmentarzu zakopiańskim „Na Pęksowym Brzyzku” pod okazałym nagrobkiem. Tak pisał po jego śmierci w 1889 roku Bolesław Prus w „Kurierze Codziennym”: *„Najznakomitszy, najszlachetniejszy przedstawiciel polskich lekarzy. Byli, są i będą między nimi głośni, uczeni, wielostronni, filantropowie, obywatele, ale takiego, który łączyłby w sobie wszystkie zalety, który stanowiłby urzeczywistnienie ideału lekarza-obywatela, nie było przed nim i nieprędko zjawi się po nim”. Zaś nieodłączny towarzysz w czasach zakopiańskich Sabała wszem i wobec opowiadał, że „profesor Chałubiński to nie ziemski człek: nogami to on tu, ale serce jego w niebie”.*

Potomni docenili wszechstronną działalność i wielkość człowieka, „który bronił od śmierci i dawał życie”, wiele ulic, szpitali, szkół w różnych miastach nosi Jego imię, jedną z przełęczy w głównej grani Tatr nazwano „Wrota Chałubińskiego”.

Pozostanie w naszej pamięci nie tylko jako lekarz, także jako humanista, człowiek czynu i wielki społecznik, miłośnik przyrody, gór i góralszczyzny, a przede wszystkim jako uosobienie ciągle żywej postaci odzwierciedlającej ducha swej epoki.

Bibliografia:

- Witold H. Paryski, Zofia Radwańska-Paryska: *Wielka Encyklopedia Tatrzańska*
 Jacek Ptak: *Tytus Chałubiński – „Król Tatr”* [w:] *Tatry na starej fotografii* / jacekptak.com.pl
 Wojciech Wilczek: *Tytus Chałubiński* [w:] *zakopanedlaciebie.pl*
 Wojciech Wilczek: *Tytus Chałubiński „król Tatr”* (ulotka informacyjna TPN)
 Zbigniew Wójcik: *Tytus Chałubiński – przyrodnik, lekarz i społecznik* [w:] *Kwartalnik Historii Nauki i Techniki*. R. 55, nr 3/4 (2010), s. 65-77
 (szb): *Tytus Chałubiński warszawski lekarz, który „odkrył” Zakopane* [w:] *dzieje.pl*
 Wikipedia – wolna encyklopedia



Pomnik Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem

fot. Janusz Barszcz – PTT Radom



Fara w Radomiu – tu odbył się chrzest T. Chałubińskiego

fot. Janusz Barszcz – PTT Radom



Akademia Medyko-Chirurgiczna w Warszawie – tu wykładał Tytus Chałubiński

fot. Janusz Barszcz – PTT Radom

PIOTR AUGUSTYŃSKI (O/Nowy Sącz)

Mikołajkowo na Babiej Górze

Wiadomo, w czasie pandemii, nie można organizować wycieczek autokarowych. Tak się jednak składa, że grudniowe wycieczki na Babią Górę odbywały się już ponad 20 razy. Stąd pomysł, aby członkowie PTT o/Beskid z Nowego Sącza sami wybrali się prywatnymi autami i spotkali się na szlaku.

Pierwsze, przypadkowe spotkanie odbyło się już na stacji benzynowej w Krościenku nad Dunajcem – bo wiadomo, że droga prowadząca bliżej Tatr jest bliższa PTT. Na przełęczy Krowiarki część ludzi przyjechała wcześniej i ruszyła w stronę Diablaka. Większa część ekipy z Nowego Sącza postanowiła wejść na Babią Górę Percią Akademików. Warunki nie były naj-

gorsze, ale przydatne były raczki i kijki.

Na szczycie spotkaliśmy koleżanki i kolegów z Nowego Sącza i Krakowa oraz wielu innych z PTT. Sądzę, że w sumie było nas grubo ponad 30 osób. Każdy chyba jest spragniony tych naszych wspólnych wypadów w góry, więc powitania, uśmiechy i rozmowy toczyły się na Diablaku (pomimo, że trochę wiało) dość długo. Następnie zeszliśmy w stronę schroniska na Markowych Szczawinach, gdzie trochę się posililiśmy i zeszliśmy w stronę parkingu.

Naprawdę udana wycieczka, ekipa dopisała i nawet pogoda była łaskawa na Królowej Beskidów. ■



foto: Marcin Zieliński - PTT Nowy Sącz

MAŁGORZATA DINDORF (K/Oświęcim)

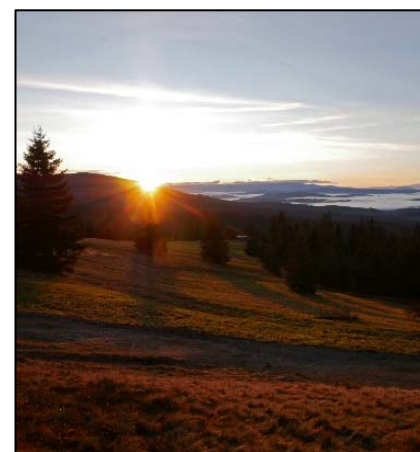
W góry, miły bracie, tam swoboda czeka na cię

Chociaż ograniczenia związane z epidemią COVID-19 uniemożliwiły wspólne z Towarzystwem celebrowanie przyrody, to jednak na szczęście nie pozbawiły nas możliwości realizowania indywidualnie naszych górskich pasji. Członkowie oświęcimskiego Koła PTT pozostali aktywni w górach pojedynczo, rodzinie albo w małych, kilkuosobowych grupkach.

W pierwszej połowie listopada pogoda zachęcała do wycieczek. Po październikowym śniegu nie zostało śladu. Morza mgieł wywoływały zachwyt, a dla ciała przyzwyczajonego już do opatulania się w chłodne dni, miłą niespodzianką okazała się być inwersja temperatury. 7 listopada można było maszerować po Beskidzie Małym w podkoszulku, czego doświadczyli Gosia i Jacek z synami oraz Ania i Marcin. Wędrowali oni przez Kocierz, Cisowe Grapy i Trzonkę, zachwycając się ostatnimi kolorami tej jesieni. Dodatkową atrakcją, dzięki Marcinowi, była możliwość obser-

wacji przez lunetę plam na Słońcu i kraterów na Księżycu (spotkania z astronomią stają się powoli listopadową tradycją, kultywowaną przez członków Oddziału PTT w Krakowie). W tym samym czasie Beata ze swoimi towarzyszami przemierzała szlak przez Groń Jana Pawła II i Leskowiec.

Krótki, listopadowy dzień i stosunkowo późne wschody słońca skłoniły niektórych do wczesnego wstania, aby zobaczyć spektakularne zjawiska na niebie i ziemi. Niezwykle piękne wschody słońca można było zobaczyć na Babiej Górze. Królowa Beskidów była łaskawa i zgotowała prawdziwą ucztę dla Witka (6.11) oraz Asi (15.11). Najwcześniej z nas jednak wstali Adam i Witek, by świt 10 listopada powitać w Tatrach i pokonać tego dnia całą Orlą Percą. Wrażenia musiały być niezapomniane, bo 5 dni później Witek znów zawitał na najbardziej honorowym szlaku tatrzańskim z dwójką znajomych. Tym razem był „tylko”



Wschód słońca na Rysiance

foto: Jacek Dindorf - PTT Oświęcim

na Kozim Wierchu i Granatach, podziwiając, jak popołudniowe światło słoneczne muska szczyty Wysokiej i Lodowego.

O świcie 15 listopada Jacek, Wojtek, Bartek i Radek zameldowali się na Rysiance. Wojtek przywędrował tutaj drugi dzień z rzędu! Panowie zachwycali się słońcem, wschodzącym zza Trzech Kopców, a potem przez Halę Lipowską zeszli nieznakowanymi ścieżkami do Żabnicy, podziwiając krajobraz Beskidu Żywieckiego i Śląskiego. Obejrzelik także pobliską budowlę forteczną „Wyrwidąb” z września 1939 r.

Warto w każdym czasie budować formę psychofizyczną. W stresującej rzeczywistości, góry i wysiłek z nimi związany to znakomita forma terapii dla zestresowanych. W górach odetchniemy pełną piersią i to bez maseczek. ■

Początek Orlej Perci widziany z Zawratu

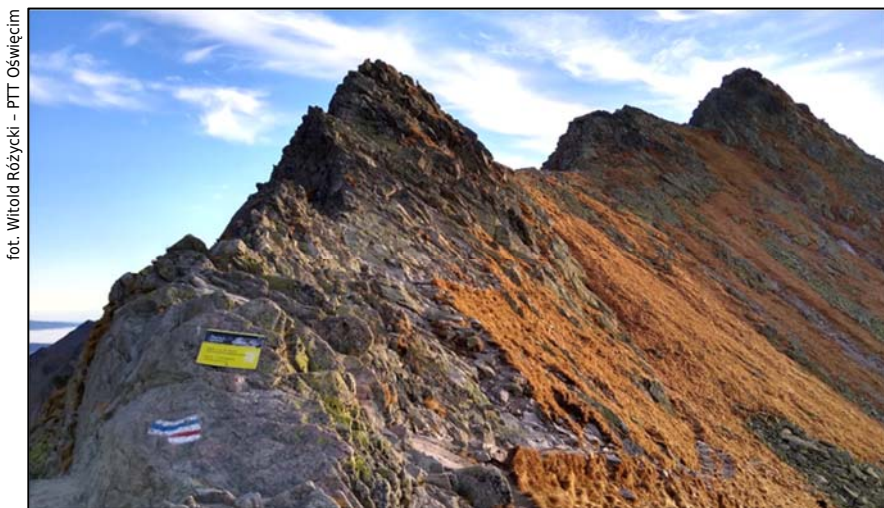


foto: Witold Różycki - PTT Oświęcim

PAWEŁ MYŚLIK (O/Nowy Sącz)

Meandry walki o polskie granice

Pod datą 28 maja 2020 r. przewodnik bieszczadzki Mateusz Podkul opublikował, w swojej zakładce na Facebooku, informację przypominającą zasługi wybitnego polskiego geografę.

Osobistą zasługą Stanisława Leszczyckiego oraz wynikiem jego wiedzy i determinacji było zachowanie w granicach powojennej Polski: Gniazda Tarnicy, Doliny Jeleniowatego, Wołosatego i Ustrzyk Górnych. Postać Profesora jest niestety mało znana, a przecież w pełni zasługuje na szacunek i popularyzację.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie podjęło temat i obecnie czyni starania o nadanie imienia Profesora Leszczyckiego, dotychczas nienazwanej przełęczy pomiędzy Haliczem i Rozsypańcem. O postępie naszych działań będziemy Państwa informować. Poniżej prezentujemy, za zgodą autora, skrót internetowej publikacji Pana Mateusza Podkula. Publikacja ta jest oparta m.in. na artykule Piotra Eberhardta z Warszawy w wydawnictwie „Dzieje Najnowsze” z 2018 roku.

Wiedza na temat ustalania przebiegu granicy polsko-radzieckiej na odcinku bieszczadzkim po II wojnie światowej nie jest szeroko rozpowszechniona. Powszechnie wiadomo, że Ustrzyki Dolne, Czarna i Lutowska wraz z okolicami wróciły do Polski po zmianie granic w 1951 r. Istniało jednak spore ryzyko, że także inny kluczowy dla Bieszczadów fragment znajdzie się w 1945 r. w granicach Związku Radzieckiego.

Zanosilo się na to, że efektem radzieckiej koncepcji wytyczania jak najprostszej granicy – po 1945 r. Tarnicę, Bukowe Berdo, Szeroki Wierch czy Wołosate będziemy podziwiać co najwyżej z Połoniny Caryńskiej jako punkty poza naszą wschodnią granicą. Wówczas najwyższym szczytem polskich Bieszczadów stawałby się Kruhły Wierch (1297 m n.p.m.) lub Wielka Rawka (1307 m n.p.m.), o ile ta druga nie znalazłaby się po stronie radzieckiej. Tak więc wówczas na terytorium ZSRR znajdowałyby się, obok Bieszczadów Wschodnich, także istotna część Bieszczadów Zachodnich.

To, że tak się nie stało, zawdzięczamy znakomitemu geografowi, rodem z Mielca, Stanisławowi Leszczyckiemu (1907-1996), który – jak wspominał – dzięki rozległym studiom na temat powojennej Polski stał się rzeczoznawcą Ministerstwa Spraw Zagranicznych do spraw granic powojennych

i jako taki uczestniczył – obok prof. Walego Goetela i doc. Andrzeja Bolewskiego – w konferencji w Poczdamie (17.07.1945 – 02.08.1945), gdzie zetknął się z wielkimi tego świata, a następnie w konferencji moskiewskiej (sierpień 1945 r.). Profesor Leszczycki na obu konferencjach – jako ekspert i doradca – nie był pełnoprawnym uczestnikiem obrad.

Zespół ekspercki przygotował na konferencję bogatą dokumentację z zakresu demografii, transportu, ekonomii i fizjografii. Opracowano różne warianty granic – od maksymalistycznych po bardziej skromne, dotyczące nawet pojedynczych wsi. Przygotowano materiały świadczące o polskości Lwowa, o powiązaniach kulturalnych miasta z Polską na przestrzeni wieków. Stosunkowo szybko zorientowano się, że odzyskanie Lwowa jest postulatem całkowicie nierealnym i kwestii tej nie postawiono na obradach plenarnych. Natomiast wystąpiono z propozycją 10 zmian granicznych (np. o całą Puszczę Białowiecką, o Zagłębie Borysławsko-Drohobyckie, o Chyrów, Rawę Ruską itp.). Wszystkie te propozycje strony polskiej Rosjanie stanowczo odrzucili. Nawet w sprawach bardzo drobnych strona sowiecka nie była gotowa na żadne ustępstwa.” (P. Eberhardt, *Udział Profesora Stanisława Leszczyckiego w konferencji poczdamskiej i moskiewskiej*, „Przegląd Geograficzny”, R.79: 2007, t. 79, z. 3-4).

„W sierpniu 1945 r. powołano mnie i A. Bolewskiego na rzeczoznawców w sprawie delimitacji granicy wschodniej. Z ramienia MSZ przewodniczył nam i służył jako tłumacz inż. Czajka, kierownik Wydziału Radzieckiego w MSZ. Opracowałem liczne poprawki dotyczące przebiegu linii granicznej. Przedstawiłem ich kilkanaście na specjalnym posiedzeniu delegacji polskiej Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Poparł je Mikołajczyk. W rozmowach z Rosjanami początkowe nasze zamiary wytarowania przynajmniej Borysławia oraz całej Puszczy Białowieckiej spęły na niczym. Może warto zwrócić uwagę na dwa punkty tych rozmów. W północnej części granicy staraliśmy się o uzyskanie wyjścia z Elbląga przez Zalew Wiślany na morze. Odpowiedziano nam, że zawsze możemy korzystać w okresie pokoju z wyjścia z Zalewu k. Piławy, podczas wojny zaś przejście to będzie zamknięte. Natomiast sukcesem zakończyło się moje twarde stanowisko w sprawie przebiegu linii granicznej na południu. Utrzymywałem, że granica ma przebiegać nurtem Sanu aż do jego źródeł. Delegacja radziecka złożona z gene-

rałów pracujących w Sztapie Wojsk Radzieckich była zaskoczona moim żądaniem, nie spodziewali się, że ich propozycja prowadzenia granicy w tej części Karpat linią prostą (najkrótszą) aż do ustalonej już granicy ukraińsko-słowackiej nie zostanie przyjęta przez stronę polską. Naczelnik Czajka był mocno niezadowolony z mojego uporu, doc. A. Bolewski nie zabierał głosu. Zaskoczeni generałowie zaproponowali nam, że może wolimy rozmawiać z Ukraińcami, którzy lepiej znają zagadnienia lokalne od nich. Po pewnej wymianie zdań Rosjanie przerwali rozmowę mówiąc, że muszą otrzymać w Sztapie radzieckim nowe instrukcje. Odstawili nas do hotelu o 3 rano. Kiedy znów nas wezwali w nocy i oświadczyli, że przyjmują stanowisko delegacji polskiej, byłem szczęśliwy. To stanowisko zwiększyło obszar Bieszczadów Polskich o 320 km².” (S. Leszczycki, *Życie na przełomie 1907-1990*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki”, R. 36:1991, z. 3).

Z tego cytatu wynika, że dzięki uporowi profesora udało się wywalczyć dla Polski część Bieszczadów o powierzchni ok. 300 km². Strona sowiecka proponowała przeprowadzenie granicy od wsi Smolnik nad Sanem po linię prostej (zapewne w oparciu o potok Wołosaty) do Wielkiej Rawki. Dzięki Stanisławowi Leszczyckiemu w granicach Polski znalazły się Ustrzyki Górne oraz całe pasmo górskie z Tarnicą i Haliczem po południowej stronie Sanu, aż po wieś Sianki.

Warto zatem wędrując na Tarnicę czy do źródeł Sanu pamiętać o tym, komu zawdzięczamy taką możliwość bez posiadania paszportu. Warto również się zastanowić, czy w Bieszczadach nazwisko prof. Stanisława Leszczyckiego nie powinno być upamiętnione w jakiś szczególnie sposób – niekoniecznie musi to być od razu np. „przełęcz Leszczyckiego” między np. Rozsypańcem a Haliczem – analogicznie do „przełęczy Orłowicza” czy rzadko używanej „przełęczy Krygowskiego”, niemniej trochę wstyd iż zasługi tej osoby są mało znane w kontekście Bieszczadów. ■

Źródła:

1. „Bieszczady Okiem Podkula” (<https://www.facebook.com/bieszczadyokiempodkula/>)
2. P. Eberhardt, *Udział Profesora Stanisława Leszczyckiego w konferencji poczdamskiej i moskiewskiej*, „Przegląd Geograficzny”, R.79: 2007, t. 79, z. 3-4
3. S. Leszczycki, *Życie na przełomie 1907-1990*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki”, R. 36:1991, z. 3
4. S. Leszczycki, *Ważły się losy Bieszczadów (według moich ówczesnych notatek)*, „Miesięcznik Ziemi Górskich”, 3, 1-2 (17-18), s. 12-13, Kraków 1992

Coś się wypaliło...

Z Mirosławą Rzepecką z Oddziału PTT w Ostrzeszowie, rozmawia **KINGA BURAS** (O/Tarnów)

Na samym początku pragnę pogratulować odznaczenia Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości. Dla Oddziału PTT w Ostrzeszowie to zapewne wielka radość i duma. Jak wyglądał ten wyjątkowy dzień?

Dziękuję za gratulacje, ale przede wszystkim dziękuję koleżankom i kolegom z ostrzeszowskiego Oddziału PTT za wskazanie mojej kandydatury do odznaczenia. To i dumę, i radość, i takie uroczyste podsumowanie mojej 40-letniej pracy zawodowej (z czego 38 lat w Muzeum) i działalności społecznej. A dzień, a właściwie weekend w Krakowie wspominam bardzo miło: spotkanie dawno niewidzianych znajomych

z różnych stron naszego kraju, sprawnie przeprowadzone obrady ZG PTT, wzruszający moment wręczania odznaczeń, pamiątkowe zdjęcia w maseczkach i bez, spacer po starówce, zwiedzanie muzeum pod krakowskim Rynkiem, rodzinne spotkanie w Rudzie Śląskiej – w drodze powrotnej...

Posiadasz wieloletnie doświadczenie prezesa Oddziału PTT w Ostrzeszowie. Jak wyglądała działalność na rzecz PTT podczas Twojej kadencji?

„Prezesowaliśmy” ostrzeszowskiemu Oddziałowi PTT na zmianę z Józefem Michlikiem – Bacą. Ostatnio „dowodziła” Ewa Idczak

Moja przygoda z turystyką zaczęła się dawno, dawno temu, od kursu dla organizatorów turystyki, w czasach licealnych. Później turystyka nizinna, rajdy po Ziemi Ostrzeszowskiej i urokliwych miejscach południowej Wielkopolski, Klub Turystyki Górskiej „TURNIA” i Oddział PTT.

A jak było na początku naszej działalności górskiej? Byliśmy młodzi, pełni zapału i mniej lub bardziej szalonych pomysłów. Było nas dużo, nie tylko z Ostrzeszowa, ale z różnych stron Polski, a i zagraniczni członkowie i sympatycy się zdarzali. Mieliśmy wsparcie zakładów pracy, dofinansowanie z Urzędu Miasta i Gminy na organizację imprez i zakup literatury szkoleniowej, przychylność dyrektorów szkół i prowadzony ponad 25 lat przez Gabrysię Bednarek Szkolny Klub PTT „Dreptusie”. Mimo zdarzających się problemów i przyszłowiowego wiatru w oczy. Wszystkich przez wiele lat jednoczyła Młoda Hora. Wydawałoby się – pełnia szczęścia, ale i po latach, smutna refleksja – żaden z Dreptusiów, jako dorośli, nie został członkiem PTT...

Pytanie dotyczące współpracy z innymi organizacjami turystycznymi oraz lokalnymi samorządami, zacznę od Twojej pracy w Muzeum Regionalnym im. Władysława Goluśa. Z pewnością wyjątkowe miejsce i ważne na mapie Polski. Jak jest realizowana współpraca Oddziału PTT z dyrekcją Muzeum oraz innymi ośrodkami kultury czy turystyki w Ostrzeszowie?

Ostrzeszowskie Muzeum, które jest działem Ostrzeszowskiego Centrum Kultury to takie miejsce, gdzie każdemu po drodze, gdzie zaczynały się cykliczne wędrowki, rajdy... W Muzeum odbywały się zebrania Zarządów Oddziału PTT, okolicznościowe spotkania, prelekcje, projekcje filmów, czy tematyczne wystawy. Przed laty prezentowana była wystawa ikon, pejzaży górskich i biżuterii Krzysztofa Kabata, była też czasowa ekspozycja pt. „Ostrzeszowianie w Polskim Towarzystwie Tatrzańskim”. I tak już zostanie – dopóki będę pracowała w Muzeum zawsze będzie tu miejsce dla PTT.

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie przede wszystkim turystyka górską. Gdzie najczęściej można Was spotkać na szlaku? Które regiony górskie są przez Was najczęściej odwiedzane?

Od wielu już lat, z uwagi na różnej materii trudności nie organizowaliśmy dużych, oddziałowych wyjazdów w góry. Jak podawaliśmy w sprawozdaniach do „Pamięt-

fot. archiwum PTT Ostrzeszów



Z Bacą u Wielebnego w sierpniu 2015 r., Mira Rzepecka druga od prawej



Wycieczka Oddziału PTT w Ostrzeszowie do Poznania

ników PTT” nasze górskie wędrowki realizowane były najczęściej w rodzinnych, czy małych koleżeńskich grupach, najczęściej w polskich górach. Zdarzały się też wędrowki po szlakach górskich Włoch, Austrii, Francji, Norwegii, Ukrainy czy USA.

Na portalu społecznościowym zauważyłam Wasze zdjęcia z przyrodniczej wyprawy pieszej w okolicach Ostrzeszowa. W które miejsca po Ziemi Ostrzeszowskiej warto się z Wami wybrać?

Ziemia Ostrzeszowska to miejsce szczególne, mieszkamy w najwyższej części Wielkopolski. Samo miasto ze względu na położenie, dużą ilość zieleni, dostępność komunikacyjną, ciekawą historię, zabytki, położony w lesie basen z piaszczystą plażą i oczywiście Muzeum, jest godne uwagi. Warto także rozejrzeć się po okolicy, wybrać na spacer do lasu, posłuchać o czym szumią drzewa...

W „zasięgu ręki”, a właściwie pieszej czy rowerowej wycieczki mamy Wzgórze Ostrzeszowskie z Kobylą Górą (284 m n.p.m.), z uwagi na wzniesiony na niej w 2000 roku krzyż milenijny, zwaną często Wzgórzem Błogosławieństw, czy Bałczyną (278 m n.p.m.). Atutem Bałczyny jako punktu widokowego jest fakt, że znajduje się ona na samym skraju Wzgórz Ostrzeszowskich, a jego wschodni stok opada w kierunku Wysoczyzny Wieruszowskiej, która jest niższa o około 100 m. Dlatego ze wzgórza rozpościera się wspaniały widok, którego nie zasłaniają drzewa. Przy odpowiednich warunkach z Bałczyny widać obszar aż trzech województw: wielkopolskiego, opol-

Ratusz w Ostrzeszowie, siedziba Muzeum Regionalnego im. Władysława Goluśa

skiego i łódzkiego.

Warto też wybrać się do pobliskiego Antonina, gdzie na początku września przy modrzewiowym pałacu Radziwiłłów odbywa się zakończenie Rajdu Jesień Chopinowska, którego organizatorem jest PTTK w Ostrowie Wielkopolskim.

Trochę wspomnień... Na zawsze w naszej pamięci pozostanie osoba legendarnego Bacy. Józef Michlik był wieloletnim prezesem Oddziału, ale także członkiem honorowym PTT. Każdy z nas zapewne nocował w Chyzie u Bacy PTT na Młodej Horze. Ostatni raz spotkałam go 12 października 2018 r. na V Konferencji Programowej PTT w prowadzonym przez niego schronisku. Gościna z jaką przy-

jął przybyłych z pewnością ujęła wszystkich uczestników konferencji. Jak zapisał się w Twojej pamięci Baca?

Baca i Młoda Hora to temat szczególny...

Niedawno byłam na mszy, którą w rocznicę śmierci Bacy odprawił w małym kościółku w Domasławowie ks. Arkadiusz Wiczorek (w mładohorskich kręgach znany jako „Wielebny”). Później, w kameralnym gronie, popłynęły wspomnienia...

Teraz mogę się przyznać, że prośby o teksty poświęcone Bacy, krótko po Jego śmierci pozostały bez odpowiedzi, bo wtedy nie potrafiłam o tym mówić, pisać... Nie tylko ja, wszystkich nas „zamurowało”. I teraz kiedy trochę już ostygły emocje, choć nadal pozostał żal, na spotkaniu z Wielebnym stwierdziliśmy, że każdy z nas pamięta coś, o czym warto napisać. Czasami są to drobiazgi, czasami rzeczy istotne, więcej niż smutnych i poważnych jest radosnych, wzbudzających salwy śmiechu i tym właśnie trzeba się podzielić, ocalić od zapomnienia...

Co dalej z Oddziałem w Ostrzeszowie?

W ostrzeszowskim Oddziale PTT od dłuższego czasu pojawiały się problemy, coś się „wypaliło”... Z różnych przyczyn na spotkania, proponowane wędrowki, czy wycieczki – mimo wspólnego planowania – było coraz mniej chętnych. Na początku roku stwierdziliśmy, że niestety nie mamy szans na przetrwanie jako samodzielny oddział, a chętni do działania w szeregach PTT będą członkami ostrzeszowskiego Koła przy Oddziale Poznańskim.

Dziękuję za rozmowę.



„Kowidowe” wędrowanie... z Schopenhauerem*

Podróżniczo i turystycznie rok 2020 zapowiadał się bardzo dobrze. W styczniu poleciałem na niezwykle udaną pod względem górskim wyprawę do Chile. Jednak w marcu wybuchła w Polsce i w świecie epidemia SARS-Cov-2. Bardzo szybko wprowadzono ograniczenia w podróżowaniu, zakazano swobodnego przemieszczania się, zamknięto schroniska, hotele i granice. Od kwietnia mogliśmy mówić nie tyle o braku wolnego czasu, co o czasie przymusowo wolnym.

Końcem maja, niektóre z tych ograniczeń złagodzone i pojawiła się możliwość wyruszenia na szlak. Podobnie zrobiło wielu. Na górskich szlakach pojawiły się nie setki ale tysiące turystów. Widząc te tłumy można było wysnuć tezę, że nic tak nie zmotywowało rodaków do uprawiania turystyki jak pandemia.

Od kilku lat planowałem tygodniową wędrowkę po naszych pięknych Beskidach z nastoletnim już wnukiem Dominikiem. Teraz nadarzyła się okazja, by ten zamiar wcielić w życie. Pragnąc uniknąć wakacyjnego tłoku, w tych bardzo popularnych górach, start zaplanowaliśmy na drugą połowę czerwca z zamiarem przejścia z Ustrońa do Jordanowa.

Ze względu na realną możliwość ponownego zamknięcia schronisk i pensjonatów zostaliśmy zmuszeni do zabrania dodatkowego wyposażenia: namiotu, mat, śpiworów, gazu i palnika oraz garnka do gotowania. Większość tego sprzętu spakowałem do swojego plecaka. Ważył 18 kg! Innym problemem był znaczący wzrost

cen w schroniskach i miejscowościach wypoczynkowych, w których zamierzaliśmy nocować i zaopatrywać się w żywność. Ze względów sanitarnych dostępne były tylko pokoje jedno albo dwuosobowe w średniej cenie 70 zł od osoby (niezależnie od ilości łóżek w pokoju). Nie wszędzie można było płacić kartą, co wymagało zabrania większej ilości gotówki o różnym nominale.

Dominik nigdy dotąd nie nocował w górach, w namiocie. Z własnego doświadczenia wiem, jak wiele niepokoju rodzi taka sytuacja. Lęk przed nieznanym, czy przed wyolbrzymionymi zwykle zagrożeniami skutecznie utrudnia zasypianie i odpoczynek. W umyśle pojawiają się czasem zjawy, zmarli, szemrane postacie i sceny z filmów. W wyobraźni ożywa to, co wrzuciliśmy (wyparliśmy) do podświadomości, staje się zagrożeniem, zmusza do zachowania gotowości do walki albo ucieczki.

Każdy taki biwak, to rezygnacja z komfortu, jaki dają domowe nawyki i stabilizacja. Burzy on ustaloną codzienność, porządek dnia i wprowadza chaos w życie. By temu jakoś zapobiec postanowiłem zastosować habituację, czyli przed planowanym wyjazdem zorganizować biwak w górach z noclegiem w namiocie w przypadkowym miejscu. W myśl założenia tego procesu poznawczego gdy bodziec się powtarza, reakcja na niego stopniowo zanika i człowiek do nowej sytuacji po prostu się przyzwyczaja.

I tak 9 maja wybraliśmy się w Beskid Mały. Z Kalwarii Zebrzydowskiej, po całym dniu wędrowki, dotarliśmy do schroniska

na Leskowcu. Było jednak zamknięte.

Początkowo planowaliśmy rozbić namiot na szczycie. Jednak po dotarciu na miejsce okazało się to mało komfortowe. Tego dnia była piękna pogoda i jeden z turystów zamierzał tu spędzić cały wieczór przy ognisku czekając na zachód słońca. Od niego dowiedzieliśmy się, że kolejne kilka osób zamierza w to miejsce przyjść nad ranem, by z kolei podziwiać wschód słońca.

Oddaliliśmy się zatem kilkaset metrów od szczytu oraz jakieś sto metrów od szlaku i w zapadającym zmroku rozbiliśmy namiot. Miejsce znajdowało się w środku lasu, ale tuż obok była wąska, stromo opadająca w dół przecinka pozbawiona drzew. Widok z tego miejsca był wspaniały. Księżyc oświetlał majaczący w oddali ośnieżony szczyt Pilska i Babiej Góry. Noc przebiegła spokojnie. Rankiem, następnego dnia zeszliśmy przez Łamaną Skalę i Potrójną do Wielkiej Puszczy...

Prognozy pogody na drugą połowę czerwca były mało konkretne. Miało być trochę słońca i trochę deszczu. W niedzielę (21) od rana lało jak z cebra. Niebo przysłaniały granatowe chmury, a widoczność była ograniczona do kilkunastu metrów. O godz. 7:30 Dominik z mamą przyjechali po mnie i moją żonę. Obie panie miały nam towarzyszyć w wędrowce na Równicę i następnie wrócić do domu.

W nocy niewiele się wyspałem. Nadal przed każdym wyjazdem mam ten sam problem. Najgorsze jest czekanie. Gdy już zaczęć działać, znikają lęki, pytania i wątpliwości, które wcześniej spędzały mi sen z powiek i skupiam się na chwili obecnej, na pokonywaniu bieżących trudności. Sporo racji miał Artur Schopenhauer, z którego filozofią zamierzaliśmy wędrować, gdy pisał, że „Nikt nie może wyzbyć się swej indywidualności”. Oznacza to, że każdy tkwi w swej świadomości, a tylko na scenie życia gramy różne role i „...los... może się odmienić, ale nasze właściwości – nigdy”. Teza ta ma i inną poważną implikację, z której nie zawsze zdajemy sobie sprawę. Nie można sięgnąć „...wzrokiem ponad własny poziom”. Tak na marginesie. Bezrefleksyjne przyjęcie powyższych twierdzeń budzi mój niepokój. Stanowi bowiem radykalną formę determinizmu i neguje istnienie wolnej woli. Uważam, że człowiek ma ograniczenia, ale są one przekraczalne choć wymaga to pracy, wielkiego wysiłku a nawet heroizmu.

O godz. 8:15 wyruszyliśmy spod dworca kolejowego Ustroń Zdrój na szlak. Nie szło się nam zbyt dobrze. Cały czas padał deszcz, a ciężkie plecaki dawały się solidnie ramio-



fot. Janusz Pilszak - PTT Kozy

Na początku wędrowki w Ustroniu

* Wszystkie cytaty w tekście pochodzą z A. Schopenhauer, *W poszukiwaniu mądrości życia. Parerga i paralipomena*, przeł. J. Garewicz, t. I, Warszawa 2002.

nom we znaki. Szlak przypominał rwący potok. Wszędzie było pełno wartko płynącej wody. Po drodze „przyczepił” się do nas kuracjusz z jednego z licznie działających w tej miejscowości sanatoriów. Podejście było strome i trudne, a on był niskiego wzrostu i okazałej tuszy i do tego po zawale. Po drodze zacząłem się poważnie obawiać o jego zdrowie. Szedł z nami aż na szczyt.

Po dotarciu na Równicę okazało się, że schronisko jest zamknięte. Fatalna pogoda i ciężki plecak spowodowały, że Dominik miał nietęgą minę. Do tego, podwinięta pod pasem biodrowym plecaka podkoszulka obdarła mu oba boki aż do krwi. Pod niewielkim zadaszaniem zjedliśmy zabrane z domu kanapki i ruszyliśmy w strugach deszczu do dół.

Na wysokości dzielnicy Jaszowiec, gdy mijaliśmy skrzyżowanie z ul. Wczasową, potknąłem się o wystający, mokry i śliski krawężnik i poleciałem na bruk. W tym miejscu, spadek terenu był duży, więc upadłem ze sporej wysokości uderzając prawym kolaniem w granitową kostkę. Kolano natychmiast spuchło i pojawił się na nim krwawy guz wielkości pięści. Podniosłem się szybko i utykając ruszyłem w dalszą drogę. W głowie zrodziła się mi niepokojąca myśl, że dopiero co rozpoczęta wędrowka niebawem będzie musiała dobiec końca i raczej nie będzie możliwe jej dalsze kontynuowanie w tym roku. W normalnych czasach leczenie urazów stawu kolanowego jest trudne, bolesne i długotrwałe, a co dopiero w czasie pandemii.

Po dotarciu do stacji kolejowej Ustroń Polana obie panie pożegnały się z nami i deptakiem wzdłuż Wisły udały się do centrum i następnie wróciły do domu. Deszcz nadal padał, a kolano bolało coraz bardziej. Wiedziałem, że dopóki jestem w ruchu to jakoś to będzie. W samo południe stanęliśmy na szczycie Czantorii Wielkiej, a o godz. 15, po pokonaniu w sumie 25 km tego dnia, dotarliśmy na Stożek Wielki.

W schronisku dostaliśmy pokój z łazienką. Od razu poszliśmy się wykąpać i przebrać mając nadzieję, że mokre rzeczy do rana przeschną. W to miejsce dotarło jeszcze pięć osób, które podobnie jak my tej niedzieli rozpoczęły wędrowkę. Było to dwóch panów około pięćdziesiątki, trzydziestoparoletni gość z czymś, przytroczonym do specjalnego stelaża na plecach, a co przypominało taczkę albo jednokołowy wózek, na który załadowany miał namiot i plecak. W górach wyglądał z tym sprzętem wręcz nierealnie, niczym człowiek posiadający zdolność do przeobrażenia się w pojazd. Dlatego zyskał ksywę Transformer.

Kolejnych dwóch panów było w podobnym wieku. Jeden miał jakieś metr dziewięćdziesiąt wzrostu i bardzo długie, opadające na ramiona kruczoczarne kręcone włosy sterczące na wszystkie strony. Do-



foto. Janusz Pilszak - PTT Kozy

Przez większość wędrowki padało

minik nazwał go Kudłatym. Drugi na imię miał Jan i przypominał mi kolegę z jednej z moich wypraw. Miał markową niemiecką kurtkę przeciwdeszczową i także spodnie oraz plecak. Jak się niebawem okazało od wielu lat mieszkał w Niemczech i jak przysłowiowy Niemiec się zachowywał, dystansując się od wszystkich.

Rano wstaliśmy bardzo wcześnie. Na zewnątrz nadal lało. Zjedliśmy resztę kanapek i konserwę turystyczną, a z wrzątku z termosu zrobiliśmy sobie herbatę. Nie wiem dlaczego, ale w większości schronisk bufety są czynne dopiero od godz. 8, co utrudnia wczesne rozpoczynanie wędrowki. Bez większych problemów pokonaliśmy pierwsze 7 km i dotarliśmy na przełęcz Kubalonka. Tu w pięknym regionalnym zajeździe napiliśmy się gorącej herbaty. Głodni na razie nie byliśmy. Konserwy turystyczne mają to do siebie, że zapełniają żołądek i „odbija” się nimi dość długo.

Okolo godziny 9 ruszyliśmy na Stecówkę. Deszcz padał coraz mocniej i szlak od przełęcz Szarcuła stał się trudny do przejścia, bowiem zamienił się w jedno wielkie bagno, w którym zapadaliśmy się miejscami po łydki. Pokonanie kolejnych 6 km zajęło nam niemal 2 godziny. Kilka razy poślizgnąłem się nadwyrażając ponownie i tak już poharatane kolano. Każdy kolejny krok dobitnie przypominał mi wypływającą z maksymy Schopenhauera życiową mądrość: „...zdrowy żebrak szczęśliwszy jest doprawdy niż chory król”. Nie musiałem jej też jako szczególnie wyjaśniać Dominikowi. Pas biodrowy z plecaka z każdym krokiem obcierał cały czas o jego zranione poprzedniego dnia boki, co czyniło wszelki komentarz zbędnym.

Do schroniska Przystop pod Baranią Górą dotarliśmy kompletnie przemoczeni o godz. 14. Na dzień dzisiejszy był to dla

nas koniec wędrowki. Następną możliwością noclegu była dopiero w Węgierskiej Górze, od której dzieliło nas 18 km. Cały czas mocno padało i wszędzie było mnóstwo wody. W tych warunkach rozbicie namiotu w górach i nocowanie w nim było mało praktyczne. Młoda, ale bardzo sympatyczna menedżerka schroniska, po krótkich negocjacjach zgodziła się wynająć nam pokój z 20% zniżką.

Szybko przebraliśmy się i porozkładaliśmy ponownie mokre ciuchy gdzie się tylko dało. Wieczorem obsługa schroniska załączyła centralne ogrzewanie. W pokoju zrobiło się bardzo ciepło. Musieliśmy jednak, co chwilę otwierać okno, by nie zatruć się smrodem z naszych przepocnych, schnących rzeczy.

Mniej więcej dwie godziny po nas pojawili się w schronisku dwaj panowie po pięćdziesiątce. Do ochrony przed deszczem używali foliowych peleryn. Niestety nie przepuszczają one potu na zewnątrz i po kilku godzinach wędrowki i tak cała odzież pod spodem jest mokra. Zrezygnowani usiedli w jadalni ciężko dysząc. Przed godziną 19 dotarli Transformer, Kudłaty i Jan. Ten drugi, idąc w mokrych butach odparzył i obtarł sobie stopy.

Spaliliśmy całkiem dobrze. Gdy przebudziłem się tuż po północy zobaczyłem migoczące gwiazdy na zasnutym od kilku dni sinymi chmurami niebie. Rano wstaliśmy pełni optymizmu. Nie mieliśmy już chleba, zatem śniadanie kupiliśmy w schroniskowym bufecie. Dwaj panowie po pięćdziesiątce usiedli przy sąsiednim stoliku i omawiali trasę zejścia do Wisły. Postanowili zakończyć wędrowkę i wrócić do domów.

Dzień zapowiadał się słoneczny, więc zaraz po śniadaniu ruszyliśmy na szlak. Wejście na Baranią Górę zajęło nam nie-

całą godzinę. Deszcz już nie padał od kilku godzin, ale szlakiem nadal płynęły strugi wody. Następne godziny wędrowaliśmy samotnie przechodząc przez Magurkę Radziechowską i halę o tej samej nazwie. W młodości na tej hali często bywałem i biwakowałem. Jej położenie w sercu gór i rozpościerająca się z niej panorama zawsze wzbudzała u mnie tęsknotę za prostym życiem wśród przyrody, za wolnością jaką takie życie daje. Po pokonaniu 18 km zeszedliśmy do Węgierskiej Górki.

Przed wyruszeniem w dalszą trasę należało poszukać noclegu. Ulewa poprzedniego dnia spowodowała, że mieliśmy dzień opóźnienia w stosunku do planu (zamiast nocować w Węgierskiej Górze nocowaliśmy na Przysłopie). Obdzwoniłem kilka miejsc w pobliżu szlaku w odległości do 10 km. Niestety, jedne były zamknięte, a w innych nie było już miejsca. Dominik znalazł w Internecie gospodarstwo agroturystyczne w Żabnicy o nazwie „Pokoje przy szlaku”, w którym był wolny pokój. Było ono oddalone od Węgierskiej Górki o mniej więcej 3 km. Nie było się zatem gdzie spieszyć.

W „Żabce” zrobiliśmy większe zakupy na dzisiejszą kolację i jutrzejsze śniadanie oraz na ewentualne jeszcze dwa posiłki. Na obiad zamówiliśmy po ulubionej pizzy i ruszyliśmy ruchliwą drogą bez poboczy. Tego dnia pokonaliśmy w sumie trochę ponad 20 km. Przed agroturystyką czekał na nas jej właściciel.

– *O widzę, że tata wędruje z synem –* powiedział na przywitaniu. Wyprowadziłem go z błędu mówiąc, że Dominik to mój wnuk.

– *Tak na oko jesteśmy w podobnym wieku, a ja mam syna w wieku pana wnuka –* odpowiedział. Nie pozostało mi nic innego jak pogratulować mu witalności.

Dostaliśmy wygodny pokój z zapleczem kuchennym. Było naprawdę super i taniej, niż w schroniskach, gdzie np. herbata kosztowała 7 zł, a tu mogliśmy zrobić kilka litrowych dzbanków za darmo i do tego była także kawa. Z okna mieliśmy piękny widok na góry. Czegóż nam więcej było potrzeba. Schopenhauer zalecał, by w życiu wystrzegać się opierania swojego poczucia szczęścia „...na szerokich podstawach, wysuwając pod jego adresem liczne wymagania: albowiem oparte na takich podstawach najłatwiej się wali, gdyż daje więcej okazji do nieszczęść, a te nie dadzą na siebie czekać”. Pogoda nadal była dobra – prognozy na jutro już nie.

Około godz. 20 zjawili się nasi gospodarze i przygotowali drugi pokój dla gości, chyba pary, bowiem było w nim wielkie małżeńskie łóżko. Gdy tuż przed godz. 22 kładliśmy się spać, nie było jeszcze nikogo. Jak dotąd, także nie pojawili się nasi towarzysze wędrowki.

Na szlak wyszliśmy znowu w strugach deszczu przed godziną 7. Po sześciu kilometrach marszu w totalnym błocie dotarliśmy na Abramów. Dopiero przed Stacją na Słowiance przestało padać i niebo zaczęło się przejaśniać. Wtedy też zobaczyliśmy pierwszą osobę na szlaku. Był to Jan. Szedł sam. Gdy się obejrzał i zobaczył, że się zbliżamy przyśpieszył i na razie zniknął nam z oczu.

Na Słowiance zrobiliśmy przerwę na herbatę. Teraz czekał nas trudny trawers

stromych i dzikich stoków Romanki. Szybko dogoniliśmy Jana. Odburknął coś na nasze „Dzień dobry”, odwrócił się tyłem do nas i skupił na studiowaniu mapy. Takie indywidualności w społeczności, także tej górskiej, czasem się spotyka i nie ma się co na nie obrażać. „Kto zmuszony jest do życia wśród ludzi, temu nie wolno odrzucić bezwzględnie żadnej indywidualności, skoro natura już ją stworzyła i dała, choćby była najgorsza, najnędniejsza lub najbardziej komiczna”. Skoro nie można zmienić indywidualności, lub jest to bardzo trudne, to powinno się pomyśleć, że jest na pewno takie miejsce w społeczeństwie, w którym ta indywidualność może zdziałać wiele dobra.

Nie raz podczas naszych wyjazdów uczułem Dominika, by zachował w kontaktach z obcymi z jednej strony daleko idący dystans, a z drugiej szacunek i tolerancję dla przejawów inności. Aby przejść przez życie bez wstrząsów „...należy wziąć z sobą w drogę znaczny zapas ostrożności i wyrozumiałości...”. Żyjemy w szczególnie niebezpiecznych czasach. Stąd należy dbać o zachowanie autonomii własnego życia, ale i pozwolić żyć innym.

Podczas pokonywania trawersu w wielu miejscach płynął nim rwący potok i szło się nam bardzo ciężko. Gdy dotarliśmy do partii szczytowej, musieliśmy po bardzo śliskich, odśnieżonych przez obsunięte zbocze skałach, wspinać się w górę z dziesięć metrów. Pomyślałem o Transformerze i przeprawie jaka będzie go, w tym miejscu czekała. Dwa tygodnie później wędrowałem tym odcinkiem szlaku i w tym miejscu były już porządnie zakotwione łańcuchy. Jan cały czas podążał za nami zachowując kilkudziesięciometrowy dystans.

Po pokonaniu mniej więcej kolejnych 2 km wyszliśmy na Przełęcz Pawlusią. Niebo się rozchmurzyło, wyszło słońce i od razu zrobiło się parno. Teraz czekało na nas strome podejście do schroniska na Rysiance. Głodni i spragnieni mozolnie pieliśmy się do góry. Tuż obok schroniska stał rozbity namiot i przywitani nas, machając przyjaźnie, Transformer i Kudłaty.

W schronisku zamówiliśmy sobie wypasiony obiad, czyli w naszym przypadku kotlet schabowy. Kupiliśmy także, po złodziejskich cenach napoje na dalszą drogę. Po chwili, w jadalni pojawił się Jan z taką specjalną butelką z filtrem na wodę i zwrócił się do obsługi z pytaniem czy woda w toalecie nadaje się do picia (!).

Po objedzie ruszyliśmy na szlak. Przez Trzy Kopce i Palenicę, po pokonaniu w sumie 24 km tego dnia, doszliśmy na Halę Miziową pod Piłskiem. Schronisko sprawiało wrażenie jakby było opuszczone. Nigdzie nie było widać żywego ducha. Z trudem udało się nam znaleźć recepcjonistę. Dostaliśmy dwuosobowy pokój na

– fot. Janusz Piłszak – PTT Kozy



Biwak pod Leskowcem

drugim piętrze, z pięknym widokiem na okolicę. Po ogarnięciu się poszliśmy do bufetu na kolację. Zamówiliśmy żurek. Sądząc po cenie powinien zaspokoić nasz głód. Podano go nam w małych salaterkach, takich w jakich zwykle podaje się surówki do obiadu. Musieliśmy zatem domówić jeszcze frytki, by zapełnić żołądki.

Około godz. 20 przed schroniskiem pojawili się Transformer i Kudłaty. Ten ostatni ledwo szedł na obolałych stopach. Ale widać było, że oboje są twardymi i konkretnymi facetami. W schronisku był darmowy Internet i Dominik miał zajęcie przez cały wieczór. Od kilku lat interesuje się motoryzacją i marzy się mu w przyszłości dobry, sportowy samochód. Dlatego często przegląda strony z markami uznanymi za prestiżowe. Staralem się delikatnie ukierunkować jego wyobrażenia co do hierarchii posiadania dóbr, w tym tych materialnych. Ustalenie tu właściwych proporcji nie jest rzeczą łatwą we współczesnym, konsumpcyjnie nastawionym społeczeństwie.

Pomocny okazał się cytowany już wielokrotnie filozof. Jego zdaniem określić „...rozsądne granice naszych pragnień, jeśli idzie o posiadanie, jest rzeczą trudną, o ile w ogóle możliwą. Albowiem pod tym względem zadowolenie wynika u każdego człowieka nie z wielkości absolutnej, lecz z relatywnej”, bowiem nie to, „...czym rzeczy są obiektywnie i rzeczywiście, lecz to, czym są dla nas, w naszym pojęciu, uszczęśliwia nas lub unieszczęśliwia”. Każdy człowiek ma także „...własny widnokrąg rzeczy osiągalnych; dalej wymagania jego nie idą”. Jednak w potocznych wyobrażeniach obowiązuje zasada: „Masz coś, mają cię za coś”. I tu cycha na człowieka pułapka, bowiem dążenie do bogacenia się „...przypomina wodę morską: im więcej się pije, tym bardziej jest się spragnionym”. Prawda jest jednak inna i „...z całą pewnością to, czym się jest, ma znacznie większy wpływ na nasze szczęście niż to, co się posiada”. Podczas dyskusji toczonej w schroniskowej stołówce tego wieczoru, odniosłem wrażenie, że Dominik doskonale to rozumie.

Wczesnym rankiem, tuż po godz. 5 byliśmy już na nogach. Zapowiadał się piękny, słoneczny dzień. Z okna rozpościerał się wspaniały widok. Doliny wypełniała mgła i z tego mlecznego morza, niczym wyspy, wyłaniały się setki górskich wierzchołków w kolorze granatowym. Czasem słyszę pytanie po co chodzę w góry, co one mi dają, czy nie lepiej zająć się czymś co przynosi pieniądze, władzę a czasem i sławę? Schopenhauer pisał, że wielkim głupstwem byłoby „...stracić wewnątrz, by zyskać na zewnątrz, tj. poświęcić całkowicie lub częściowo swój spokój, wolny czas i niezależność, by pozyskać poklask, stanowisko, przepych, tytuły i honory”. Chłonać rankiem ten niezwykły widok oboje przy-



Pod Mędralową

znaliśmy mu rację. Wielkim głupstwem byłoby stracić możliwość przeżywania takich, ocierających się o mistycyzm, egzystencjalnych i estetycznych przeżyć.

Śniadanie zjedliśmy w pokoju i o godzinie 6 byliśmy już na szlaku. Przed nami było wiele godzin nieprzerwanej wędrówki, aż do Markowych Szczawin pod Babią Górą. Wędrowałem tym niezwykłym szlakiem już co najmniej kilkanaście razy i zawsze budził mój zachwyty. Brak ludzkich osiedli i turystycznej infrastruktury, wspaniałe lasy i hale tworzyły tu środowisko niemal nieskażone cywilizacją.

Dominik szedł kilkadziesiąt metrów przede mną. Zwykle tak wędrujemy, pograżeni we własnych myślach. Każdy ma swój świat, w którym żyje. Nie zawsze jest on identyczny z obiektywnym światem, bowiem przysłaniają go liczne troski. Z perspektywy górskich szczytów i rozległej panoramy, problemy codzienności zacierają się i maleją i można nabrać do nich dystansu. Można je ponownie, na spokojnie przemyśleć. Dlatego z własnymi myślami lubię wędrować. Gdy spoglądałem na idącego przede mną Dominika, byłem niemal pewny, że on również.

Podejście na Jaworzynę dało się nam obu we znaki. Dzień był ciepły i parny. Tuż za szczytem natrafiliśmy na samoobsługową bazę namiotową. Było tam kilka skromnych drewnianych wiat i rozbitych dużych namiotów. W całej bazie nie było żywej duszy. W jednej z wiat, która równocześnie pełniła funkcję kuchni, jadalni i świetlicy, złożyliśmy naszą kuchenkę gazową, zagotowaliśmy wodę na herbatę i zjedliśmy drugie śniadanie.

Przez Mędralową, po przejściu tego dnia 30 km, dotarliśmy o godz. 16 na Markowe Szczawiny. Było tu wielu turystów. Od razu zamówiliśmy obiad. Gdy

czekaliśmy na zrealizowanie zamówienia w jadalni pojawił się od wczoraj niewidziany Jan. Podszedł do nas i zapytał czy będziemy tu nocowali. On się zastanawiał, czy nie iść jeszcze dzisiaj na szczyt Babiej Góry i tam zanoć. My nie mieliśmy takiego dylematu. Później siedział przed schroniskiem i suszył na słońcu namiot. Ostatecznie jednak zanoć w schronisku.

Po obiedzie udaliśmy się do pokoju. Po zdjęciu butów okazało się, że nasze skarpetki po prostu zgniły i musieliśmy je wyrzucić do kubła. Wieczorem, gdy jedliśmy kolację, pod schronisko dotarli Kudłaty i Transformer. Zamierzali także tu przenocować. Kudłatemu zaproponowałem plastry na stopy. Podziękował. Miał podobno swoje.

Śniadanie zjedliśmy w schronisku i o godz. 8:30 wyruszyliśmy na szlak. Podejście na przełęcz Bronę nie sprawiło nam wiele problemów. Dalej było gorzej. Panował straszny zaduch. Na godziny południowe zapowiadano burze. Szlak prowadził tu tunelem wyciętym w wysokiej kosówce co utrudniało przepływ powietrza. Wielkie muchy gryzły niemiłosiernie. Dopiero w połowie drogi na szczyt, gdy wyszliśmy z tego tunelu, podmuchy wiatru złagodziły upał. Drugim, coraz poważniejszym problemem był pogarszający się stan mojego kolana.

Na szczycie, jak zwykle, było sporo turystów, którzy zdążyli tu już dotrzeć z przeł. Krowiarki. Babia Góra to bardzo popularny szczyt. Musieliśmy oszczędzać jedzenie więc tylko uzupełniliśmy płyn i ruszyliśmy w dół. Niebo stopniowo zasłaniały chmury i niebawem zaczęło lekko siąpić.

Tym szlakiem wędrowałem w swoim życiu kilkadziesiąt razy i widziałem na



Na koniec zaświeciło słońce

nim różne rzeczy i nic już nie było w stanie mnie zaskoczyć. W tym dniu hitem okazała się para w średnim wieku. On w spodniach od garnituru i niedzielnej koszuli, ona w złotych adidasach na koturnie i w opinających uda białych krótkich spodniach oraz błyszczącej różowej bluzce. Bez kurtek, bez plecaków – całkiem na luzaka. Gdy ich minęliśmy zapach perfum towarzyszył nam jeszcze ze czterdzieści metrów.

O godzinie 10 zeszliliśmy na przełęcz Krowiarki. Podało już całkiem solidnie i słychać było, to z lewej to z prawej strony, coraz bliższe grzmoty. W szałasie przeciwdeszczowym siedział Jan i studiował mapę. Poprosiłem Dominika, by na chwilę schował się w tym schronie, a sam poszedłem do szałasu w którym mieścił się sklep z pamiątkami. Byliśmy głodni i musieliśmy kupić coś do jedzenia. Były tu tylko słodycze. Dobre i to.

Gdy zajadaliśmy się snickersami podszedł do nas Jan. Okazało się, że o godz. 7 rano wyszedł ze schroniska i teraz zastanawiał się co zrobić. Zapytał o nasze plany. Odpowiedź mieliśmy tylko jedną. Idziemy dalej szlakiem na Halę Krupową. Nie bardzo mu to pasowało. Raczej zastanawiał się, czy nie spróbować w jakiś sposób ominąć pasmo Policy. Zostawiliśmy go z tym dylematem i ruszyliśmy w kierunku Hali Śmietanowej. „Každy bowiem może tylko tym być dla drugiego, czym tamten jest dla niego”. Sporo prawdy jest zawarte w tej maksymie. Podczas spotkania z osobą nieznaną zwykle wystarczy kilkanaście sekund, by poczuć do niej sympatię albo antypatię. Dusze pokrewne szybko się odnajdują, jakby znały się od dawna.

Niebawem deszcz ustał. W okolicy jednak krążyło kilka burz. W duchu modliłem się, by nas ominęły. I tak się stało. Prze-

szliśmy coraz bardziej zarośniętą przez samosiejki drzew Halę Śmietanową, szczyt Policy i zaczęliśmy schodzić w kierunku schroniska. Po drodze spotkaliśmy kilkunastu rowerzystów. Prowadził ich przewodnik jadący na elektrycznym rowerze. Reszta musiała pedałowac. Po pokonaniu tego dnia 19 km dotarliśmy o godz. 15 pod schronisko. W kilometrach pokonana trasa nie była długa, ale miała ona spore przewyższenie. Babia Góra to najwyższy szczyt Beskidów.

Przed udaniem się do pokoju zamówiliśmy danie dnia, czyli pierś z kurczaka. Po chwili zjawił się Jan. Zamówił pierogi i znowu cały czas studiował mapę. Zanim wyszedł poinformował nas, że schodzi do Sidziny bowiem musi przyspieszyć, by się zmieścić w czasie wymaganym do uzyskania diamentowej odznaki PTTK przyznawanej za pokonanie Głównego Szlaku Beskidzkiego (GSB) w określonym czasie.

Około godziny 18 pod schronisko dotarli Transformer i Kudłaty. Wypili po piwie i zjedli frytki. Rozmawialiśmy przez chwilę. Kudłaty zamierzał przenocować w schronisku i rano zejść do Sidziny. Przeszedł GSB kilkakrotnie i twierdził, że wiele osób tak robi. Schodzą do Sidziny, a następnie busem jadą do Jordanowa i dalej do Rabki. W ten sposób skracają sobie GSB o 30 km. Uważał, że ten odcinek szlaku wyznaczono sztucznie, by go jakoś połączyć w jedną całość i wędrowanie tym odcinkiem nie ma większego sensu.

Transformer ruszył w dalszą drogę i zamierzał przenocować w namiocie gdzieś na szlaku, a jutro dotrzeć na Stare Wierchy w Gorcach. Około godz. 20 rozpętała się potężna, kilkugodzinna burza i lało przez całą noc.

Wstaliśmy wcześniej. Zjedliśmy resztę jedzenia, jakie jeszcze mieliśmy i ruszyli-

śmy na szlak. Tej nocy niewiele spałem. Powodem bezsenności nie była jednak szalejąca nad pasmem Policy burza, ale moje kolano, którego stan po przejściu Babiej Góry pogorszył się znacznie. W nocy zastanawiałem się co zrobić. Filozof z myślą, którego wędrowaliśmy od kilku dni mówił wprost, że „...największym głupstwem jest poświęcenie zdrowia dla czegokolwiek, dla majątku, kariery, uczoności, sławy, nie mówiąc już o rozkoszy i przemijających uciechach; przeciwnie, jemu należy wszystko podporządkować”. Wczesnie rano wyszliśmy na szlak. Gdy dotarliśmy na szczyt Naroża zadzwoniłem do mamy Dominika, by po nas przyjechała około godz. 14 do Jordanowa.

Na tym odcinku szlak cały czas opadał w dół i podczas schodzenia szczególnie mocno cierpiało moje kolano. Po dotarciu do Bystrej Podhalańskiej czekało nas jeszcze około 4 km drogi przez osiedla mieszkaniowe. Zrobiło się bardzo ciepło i na asfaltowych drogach, na których nie było odrobiny cienia, słońce paliło niemiłosiernie. W sumie tego dnia przeszliśmy kolejne 19 km.

Rynek w Jordanowie sprawiał przygnębiające wrażenie. Cały był rozkopany i trwały na nim prace brukarskie co stwarzało poważne zagrożenie dla pieszych. Ruch samochodowy w tym miejscu był duży. Przy ul. Kolejowej znajdował się lokal gastronomiczny, coś w rodzaju karczmy. Nie chcąc narażać się na potrącenie przez jakiś pojazd postanowiliśmy dalej nie szukać i w tym miejscu posilić się. W lokalu urządzonym na ludowo przebywał kwiat miejscowej społeczności, a jej główne menu stanowiło piwo.

Na zamówione danie musieliśmy czekać dobre pół godziny. Nie można też było płacić kartą. W tym czasie, skończyło się lane piwo (była godz. 13:30!) i można było kupić jedynie droższe butelkowe, co stałym klientom nie bardzo się podobało. Jeden z nich, wysoki i o słusznej tuszy gość, nie miał zamiaru płacić więcej i postanowił zakończyć swój pobyt w tym lokalu. Na pożegnanie powiedział:

– *Do rychłego zobaczenia.*

Na co kelnerka odpowiedziała:

– *Czyli do jutra.*

Gość zatrzymał się i wyraźnie urażony krzyknął w jej stronę:

– *Jutro jest niedziela i idę do kościoła, a nie do karczmy!*

Po godz. 14 przyjechała mama Dominika i zabrała nas z tego rozgrzanego niczym patelnia Rynku. Po półtoragodzinnej jeździe byliśmy już w domu kończąc siedmiodniową wędrowkę, w tym niełatwym pandemicznym czasie, podczas której przeszliśmy dwa pasma Beskidów i w sumie 150 kilometrów.

20. rocznica śmierci Witolda Henryka Paryskiego

Urodził się w dniu 10 września 1909 r. w miejscowości Pittsburgh (USA), w rodzinie polskich emigrantów. Był synem Michała i Marty z domu Delejewskiej. Rodzice w 1922 r. powrócili do Polski i za namową znajomych osiedlili się w Zakopanem. Młody Witold o Tatrach wiedział już z książki, z ojcowskiej biblioteki.

Uczył się w zakopiańskim gimnazjum i tu poznał wielu swoich przyszłych partnerów wspinaczkowych. W wieku 14 lat nauczył się jeździć na nartach, a w wieku 16 lat rozpoczął wspinaczki tatrzańskie.

Nigdy nie traktował tego jako wyczyn, ale bardziej jako możliwość poznania Tatr. Partnerami jego byli m.in.: Wawrzyniec Żuławski, Stanisław Motyka, Tadeusz Orłowski, Jan Sawicki, Stanisław K. Zaremba, Tadeusz A. Pawłowski, Zbigniew Korosadowicz, Ruth Hall, Tadeusz Brzoza, Jan Gnojek, Wiesław Stanisławski, Wincenty Birkenmajer, ale również jego żona Zofia.

Do ważniejszych osiągnięć taternickich należy zaliczyć pierwsze przejścia: Kozia Przełęcz Wyżnia od północy (1929), Filarem Leporowskiego na Kozi Wierch (1929), prawy filar Rumanowego Szczytu (1937), czy prawy filar północnej ściany Widel.

Rozpoczął studia lekarskie na UJ, ale ich ostatecznie nie skończył mimo zaliczenia wszystkich egzaminów. Wiedza medyczna przydała mu się jednak w przyszłości wielokrotnie.

W 1928 r. został ratownikiem TOPR, a po wojnie w latach 1945-1946 był nawet kierownikiem TOPR. Jego prawdziwą pasją była praca naukowa, którą rozpoczął w 1929 r. Interesowało go pasterstwo, geografia, etymologia, botanika i nazewnictwo tatrzańskie. Planował wyjazd w Alpy i Himalaje, ale nie udało mu się tego zrealizować.

W latach 1936-1937 był uczestnikiem II polskiej wyprawy w Andy. Wszedł na pięć szczytów o wysokości ponad 6 tys. metrów oraz dokonał samotnego wejścia na szczyt o wysokości 6630 m n.p.m. (masyw Nevado Tres Cruces). W latach 1938-1939 zrealizował wyjazd do Nikaragui.

Podczas wypraw gromadził materiały na temat gór Ameryki Północnej i Południowej. Planował wydać Wielką Monografię Andów. Wrażenia z tych wypraw zawarł w książce „W górach Atakamy”.

W czasie II wojny światowej, jako obywatel USA został przez Niemców aresztowany. Przebywał w zakopiańskiej „Palace”, a potem w krakowskim więzieniu na Montelupich. Potem został internowany i przebywał w obozach Tittmoning i Laufen w Bawarii. Pracował tam jako lekarz pomagając internowanym. Symulując bardzo zły stan zdrowia udało mu się wyjechać z obozu i powrócić do Zakopanego.

Po wojnie zrzekł się obywatelstwa amerykańskiego. Jeszcze przed wojną działał w PTT i KW. Był współtwórcą w 1983 roku, a potem pierwszym przewodniczącym, a z czasem Członkiem Honorowym Towarzystwa Ochrony Tatr. Był osobą bezpartyjną, ale z uwagi na jego dorobek mieszkańcy Zakopanego powierzyli mu mandat radnego Miejskiej Rady Narodowej (1973-1975), oraz przewodniczącego Miejskiego Komitetu FJN (1972-1975). Bardzo ciekawy „wywiad rzeka” Paryskiego, dotyczący tych lat, znajduje się w „Wierchach” Tom Nr 66 z 2000 r.

Od 1948 r. był przewodnikiem tatrzańskim I klasy, a od 1950 r. instruktorem przewodnictwa. W sumie pięć razy był Prezesem Koła Przewodników Tatrzańskich w Zakopanem. Był związany z Muzeum Tatrzańskim i bardzo cenił sobie współpracę z Juliuszem Zborowskim.

To on zachęcił Paryskiego do pracy nad słownikiem gwary podhalańskiej. Był redaktorem pism: „Krzesanica” (1922), „Taternik” (1947-1949, 1956, 1960-1963). Publikował w pismach: „Wierchy”, „Taternik”, „Rocznik Podhalański” i „Omomastica”.

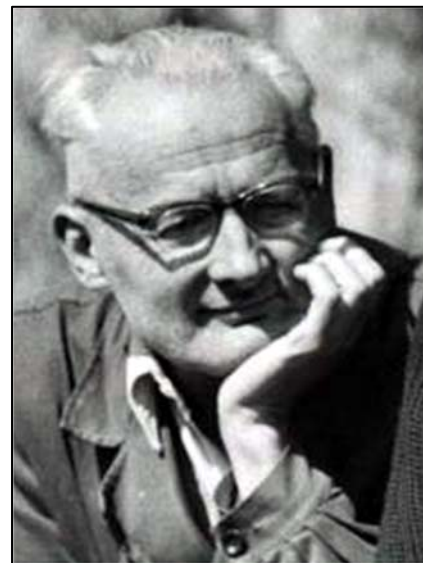
W 1988 r. otrzymał Literacką Nagrodę Zakopanego. W dniu 13 grudnia 1993 r. został Honorowym Obywatelom Zakopanego. W Polsce świętowano Jego jubileusz. W „Wierchach” Tom nr 48 z 1979 r. jest relacja z 70-lecia, natomiast w „Wierchach” Tom nr 65 z 1999 r. znajduje się relacja z 90-lecia Paryskiego.

Podczas III Zjazdu PTT w 1995 r. w schronisku w Dolinie Chochołowskiej wraz z małżonką otrzymał godność Członka Honorowego PTT. Miałem okazję być delegatem na tym Zjeździe.

Do największych osiągnięć Witolda Paryskiego należy zaliczyć wydanie Przewodnika taternickiego „Tatry Wysokie” (25 tomów) oraz „Wielkiej Encyklopedii Tatrzańskiej”, której współautorką jest jego małżonka Zofia Radwańska-Paryska.

Także „Co słychać” poświęcało artykuły postaci Paryskiego. Barbara Morawska-Nowak i Marzena Prus w nr 6 (246)/2011 pisały na temat sesji popularno-naukowej, która odbyła się w dniach 17-18 czerwca 2011 r. w Dworcu Tatrzańskim w Zakopanem pt. „Dorobek Paryskich wczoraj i dziś”.

W numerze 12 (300)/2015 Barbara Morawska-Nowak pisała na temat Konferencji pt. „Bibliografia Tatr i Podtatrza”, która w dniu 29 listopada 2015 r. odbyła się w zakopiańskiej „Okszy”, a w numerze 1 (313) z 2017 r. pisała na temat publikacji Paryskiego pt. „Góry Ameryki Łacińskiej. Historia eksploracji i bibliografia”. Publikacja ukazała się już po śmierci autorstwa staraniem Fundacji Paryskich.



fot. archiwum

Na cześć Paryskiego jeden z gatunków skoczonogów otrzymał nazwę *Andiella paryskii*. Od 2002 r. Akademickie Koło Przewodników Tatrzańskich przyjęło imię Zofii i Witolda Paryskich. W Zakopanem, na Pardałówce, znajduje się ulica Paryskich.

Obok willi „Pod Jedłami”, zbudowanej w 1897 r. dla rodziny Pawlikowskich, wg projektu Stanisława Witkiewicza, znajduje się dawny budynek gospodarczy zwany Domkiem „Pod Jesionami”. To w nim od 1972 r. mieszkali Zofia i Witold Paryscy. Zgromadzone tam potężne zbiory zostały przekazane po ich śmierci do TPN.

W dniach 3-4 listopada 1989 r. w Domu Kultury i Związku Podhalan w Zakopanem miała miejsce sesja naukowa pt. „100-lecie śmierci Tytusa Chałubińskiego”. Uczestniczyło w niej wielu znamienitych prelegentów: Małgorzata Gąsiennica-Szostak z Muzeum Tatrzańskiego, Prof. Jacek Kolbuszewski, dr Andrzej Matuszczyk, docent Michał Juszczyński, prof. Zbigniew Mirek, dr Henryk Jost, Prezes Związku Podhalan Franciszek Bachleda Księdzularz, Dyrektor Muzeum Tadeusz Szczepanek, Wojciech Gąsiennica-Byrcyn, Dyrektor TPN Leon Niedzielski. Witold Paryski, również uczestniczył w sesji i wygłosił referat pt.: „Tytus Chałubiński – znany i nieznan”.

Witold Paryski zmarł w wieku 91 lat, w dniu 16 grudnia 2000 r. Został pochowany na Pęksowym Brzyzku.

Z pewnością należy zaliczyć go do grona najwybitniejszych tatrologów. Za całokształt pracy został odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Miałem okazję zamienić z nim kilka słów i otrzymać pamiątkowy autograf.

W.H. Paryski
Zakopano 3.11.89

To już trzynaście lat...

Niebawem, 8 grudnia mija trzynasta rocznica śmierci naszego pierwszego członka honorowego, prof. Ryszarda Wiktora Schramma z Poznania. Został Pan Profesor uhonorowany już na pierwszym Zjeździe PTT, 7 października 1989 roku.

Był biochemikiem i fizjologiem roślin, profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Poznańskiego im. Adama Mickiewicza. Niedawno dostałam łódzki biuletyn „A co u nas” z dodatkiem pióra R. W. Schramma „Byli chłopcy...”. Autor wspomina w nim swoje związki z górami.

Urodził się w Olchowach w 1920 roku; był w sumie dwa tygodnie młodszy od Karola Wojtyły – późniejszego papieża Jana Pawła II. Wspomina Ojca i swoich kuzynów Kłodzińskich, którzy wprowadzili go w Tatry.

Ryszard W. Schramm zaczął się wspiąć w 1939 roku, zapisał się na kurs taternicki, instruktorami byli Stanisław Motyka i Zygmunt Wójcik. W czerwcu 1942 roku udało mu się wyskoczyć na kilka dni w Tatry. Nawiązał wówczas kontakt z Zbigniewem Korosadowiczem i zrobił z nim pierwszą nadzwyczaj trudną drogę – uskok Niebieskiej Turni wprost przez przewieszkę.

W 1945 roku prosto z akcji żniwnej pojechał w Tatry z narzeczoną. Wkrótce ożenił się. Ślubu udzielił ksiądz doktor Eugeniusz Florkowski, w kaplicy szkoły w Kuźnicach. Świadkiem na ślubie był Jerzy Młodziejowski, z którym odbył szereg górskich wycieczek. Wkrótce Jego ojciec, ostatni przedwojenny prezes Fundacji Kórnickiej, został aresztowany oraz zabrano dwadzieścia grubych teczek archiwum Fundacji.

W tym czasie Ryszard zaprzyjaźnił się ze Zbigniewem Bromowiczem i jego żoną. Utrzymywał też przyjacielskie stosunki z Jerzym Hajdukiewiczem. Wspomina także innych towarzyszy na linie: Zbigniewa Abgarowicza, Henryka Czarnockiego, Józika Januszkowskiego, Jurka Sawickiego ps. Szmaciarz, Zbigniewa Hegerle. W sumie miał za sobą wiele pierwszych wejść (ponad 40 nowych dróg) jak np. latem wsch. ścianą Granatów, pn. ścianą Czarnego Mięszowieckiego Szczytu oraz zimą Wyżnia Mięszowiecka Przełęcz od pn., Zadni Mnich pn. ścianą.

W 1955 razem ze Zbigniewem Hegerle, Zbigniewem Kryszą, Jerzym Piotrowskim i Janem Staszlem dokonał jednym ciągiem pierwszego przejścia całej Głównej Grani

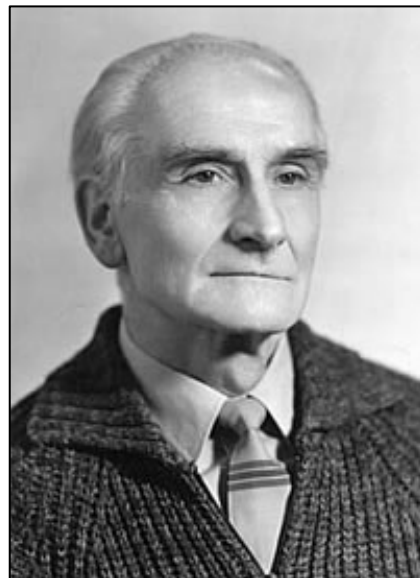


foto. archiwum

Tatr.

Uczestniczył w 10 polskich wyprawach eksploracyjnych (w tym sześciokrotnie jako organizator i kierownik): Spitsbergen (1958, 1965, 1973, 1977, 1980, 1983), Hindukusz (1962), Wysoki Atlas (1969, w zimie), Ruwenzori (1974), Darwaz Afgański (1975). Na wyprawach tych dokonał przeszło 30 pierwszych wejść na szczyty dotąd niezdobyte oraz szeregu wejść nowymi drogami na szczyty już zdobyte. Był jednym z pierwszych polskich członków amerykańskiego Explorers Club.

Po wojnie, Ryszard Wiktor Schramm był reaktywatorem Klubu Wysokogórskiego w Poznaniu. Bardzo przychylnie odniósł się do inicjatywy reaktywowania Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Osobiście bardzo go lubiłam, brał także udział w spotkaniach seniorów Klubu Wysokogórskiego. Toteż zdecydowałam się pojechać do Poznania pożegnać Go. Tam spotkałam innych klubowych poznaniaków, których poznałam w czasie pobytów w Morskim Oku, w okresie świąteczno-noworocznym z końcem lat pięćdziesiątych jak Maję i Staszka Zierchoferów, Jana Stryczyńskiego, Henryka Dembińskiego, Antoniego Gąsiorowskiego.

Byli chłopcy byli, ale się minęli i my się minimy po małej chwili... Minął się, także Ryszard Wiktor Schramm. ■

Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział w Poznaniu
p/o Instytut Badań Czwartorzędu
ul. Fredry 10
Poznań

Poznań 05.10.1989 r.

I Zjazd Delegatów
Towarzystwa Tatrzańskiego
Zakopane, 7 - 9. 10. 1989 r.

Mając na uwadze wielkie zasługi w propagowaniu piękna gór i wychowaniu wielu pokoleń ich miłośników Zarząd Oddziału Towarzystwa Tatrzańskiego w Poznaniu za zgodą wszystkich swoich członków zwraca się do I Zjazdu Delegatów o nadanie, zgodnie z paragrafem 16 Statutu Towarzystwa, godności członka honorowego prof. dr hab. R. W. Schrammowi.

Jednocześnie informujemy o nadaniu Panu profesorowi tytułu prezesa honorowego naszego oddziału.

Sekretarz Oddziału

Grzegorz Rachlewicz
Grzegorz Rachlewicz

Prezes Oddziału

Juliusz Jerzy Preisler
Juliusz Jerzy Preisler

Wniosek Oddziału Towarzystwa Tatrzańskiego w Poznaniu z 5 października 1989 r. o nadanie godności członka honorowego PTT Ryszardowi Wiktorowi Schrammowi

WYDAWCA: ZARZĄD GŁÓWNY POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

REDAKCJA: SZYMON BARON, KINGA BURAS, BARBARA MORAWSKA-NOWAK, AGATA PODGÓRSKA

SKŁAD: SZYMON BARON, KATARZYNA WILUSZ

ADRES REDAKCJI: UL. KONARSKIEGO 21/5, 30-049 KRAKÓW ♦ E-MAIL: PRACOWNIA@PTT.ORG.PL ♦ TEL.: 12 634-05-89

WERSJA ELEKTRONICZNA „CO SLYCHAC?” JEST DOSTĘPNA NA STRONIE: [HTTP://WWW.PTT.ORG.PL](http://www.ptt.org.pl)